

KATHRYN PURDIE

PRZEKLEŃSTWO SONI



moondrive

KATHRYN PURDIE

PRZEKLEŃSTWO
SONI

tłumaczenie
Anna Pochłódka-Wątopek

moondrive

Kraków 2017

Tytuł oryginału: *Burning Glass*

Copyright © 2016 by Kathryn Purdie.

Published by arrangement with HarperCollins Publishers

Copyright © for the translation by Anna Pochłódka-Wątopek

Opieka redakcyjna: Agnieszka Urbanowska

Redakcja językowa: Emilia Rydzewska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Joanna Mika

Korekta: Joanna Mika, Aneta Wiczorek

Łamanie: Daniel Malak

Projekt okładki: Małgorzata Drabina

Przygotowanie okładki do druku: Andrzej Sierak

Fotografie na okładce: cerkiew Wasyla Błogosławionego –

© Ekaterina Bykova / Shutterstock.com,

jaskinia lodowa – © Yongyut Kumsri / Shutterstock.com,

chmury i gwiazdy – © Igor Zh. / Shutterstock.com,

wzgórze – Pexels / Pixabay.com

Ornament na skrzydełkach – © Ilonochka / Shutterstock.com

ISBN 978-83-7515-393-4

moondrive

www.moondrive.pl

*Jasonowi, który zawsze powtarzał,
że mogę – i że w końcu mi się uda*

ROZDZIAŁ 1

Tak mocno ścisnęłam w dłoni rzeźbioną figurkę bogini, że drzazga wbiła mi się w palec. Ukłucie było zaledwie echem bólu, który odczuwałam – bólu nie w pełni mojego.

– Nie powinnaś upuszczać jej krwi.

Siostra Mirna, wybita z zamyślenia, obróciła się gwałtownie i spojrzała z zaskoczeniem. Kiedy przekonała się, że to tylko ja, na jej twarz powróciła skomplikowana konstelacja worków i zmarszczek.

– Soniu, co ty tu robisz? – Docisnęła bandaż w zgięciu łokcia Julii. – Nowicjuszkom nie wolno się zbliżać do chorych.

Nie odpowiedziałam i przemknęłam w głąb klasztornej infirmerii.

Oddychając przez usta, żeby nie czuć unoszącego się w powietrzu odoru choroby, uniosłam koszulę nocną nad kostki i obesłam na palcach plamy krwi na podłodze. Choć żar paleniska sprawiał, że piekły mnie oczy, a kafelki w pobliżu kominka parzyły mi stopy, całe moje ciało ogarnął ziąb.

Owinęłam się ciasniej szalem i spojrzałam przez ramię siostrze Mirnie. Na szafce nocnej Julii stała wyszczerbiona porcelanowa miska. Krew sięgała niemal najwyższej podziałki.

Moja przyjaciółka miała zamknięte oczy, a jej rude włosy lepiły się do białej jak kość słoniowa twarzy. Przełknęłam ślinę.

– Na pewno można ją leczyć jakoś inaczej. Nie może sobie pozwolić na to, by stracić jeszcze więcej krwi. Widziałaś, jak wyglądają jej nogi? Tnie się po nich. – Skrzywiłam się, bo drzazga głębiej wbiła mi się w skórę.

– W ten sposób daje upust emocjom – stwierdziła siostra Mirna i potarła brew wierzchem dłoni, by nie poplaścić jej zakrwawionymi palcami. Mimo to chustka, którą związała siwe włosy, by nie wpadały jej do oczu, była umazana krwią. – Ty też powinnaś znaleźć sposób, by to robić. – Zmarszczyła brwi. – Może wówczas potrafiłabyś się powstrzymać i nie zakradać się w środku nocy tam, gdzie nie wolno ci przebywać.

Zacisnęłam usta i podkurczyłam palce u stóp, próbując zapanować nad przepelniającymi mnie uczuciami. Chciałam się kontrolować, nie uciekając się do samookaleczenia jak Julia, darcia włosów z głowy jak Dasza czy płakania dniami i nocą jak Kira. Poza tym złość, którą czułam, nie należała wyłącznie do mnie. Widocznie pozwalałam, by zagnieździły się we mnie emocje siostry Mirny.

– Przyszłam dać to Julii. – Wysunęłam dłoń z figurką Fei, drugą ręką przytrzymując szal. Czas spędzony wśród Romskich pozbawił mnie wszelkich religijnych wyobrażeń, jakie kiedyś miałam, Julia była jednak jeszcze bardziej wierząca niż siostry w klasztorze. Miałam nadzieję, że widok bogini prorocstwa i auroczułych doda jej sił w walce z gorączką.

Gryząc drżącą wargę, patrzyłam, jak klatka piersiowa przyjaciółki nieznacznie się unosi. Julia oddychała płytko, jej tętno było ledwie wyczuwalne.

Gwoli prawdy, potrzebowałam, aby Julia wydobrzała. Nie dałabym rady wytrzymać w tym miejscu bez kogoś bliskiego, kto nakłoniłby mnie do uśmiechu i do późna w nocy opowiadał mi rozmaite historie.

Siostra Mirna wzięła figurkę, a jej twarz przybrała łagodniejszy wyraz. Złość, którą czułam, również ustąpiła. Kiedy jednak siostra wyciągnęła rękę i postawiła boginię na oszronionym parapecie, zrobiło mi się chłodniej. Na zewnątrz nadal padał śnieg.

Zaburczało mi w brzuchu. Siostra Mirna musiała umierać z głodu. Kiedy ostatnio pozwoliła sobie na posiłek albo chwilę wytchnienia? Mała Dasza i Kira, które spały głęboko po drugiej stronie pomieszczenia, nie były już tak blade. Wiele naszych rówieśniczek zwolniono ze skrzydła dla chorych, ponieważ doszły do siebie po epidemii. Stan Julii wciąż się jednak pogarszał.

Kiedy siostra Mirna zaczęła mamrotać modły do bogini, wykorzystałam chwilę jej nieuwagi i siadłam przy Julii. Mój ciemnoblonde warkocz opadał mi przez ramię – gdyby był odrobinę dłuższy, musnąłby jej zakrwawioną rękę.

Spojrzałam na bezwładną dłoń przyjaciółki. Czy odważyć się jej dotknąć? Gdybym czując ból Julii, wydała z siebie choćby najcichszy dźwięk, siostra Mirna natychmiast każałaby mi wyjść. Chciałam jednak ofiarować przyjaciółce własną energię – choć przecież nie miałam takiej mocy. My, auroczule, nadawałyśmy się tylko do tego, by odczytywać odczucia innych. Taki dar to prawdziwa udreka – ten, kto się z nim urodził, stawał się własnością Cesarstwa Riaznińskiego i odbywał szkolenie w tym klasztorze w jednym jedynym celu – by chronić władcę imperium. Większość dziewcząt mimowolnie zdradzała swoje zdolności, wkraczając w wiek, kiedy uczyły się pisać i czytać, lecz nie potrafiły jeszcze kontrolować swoich uczuć. Dopóki osiem miesięcy temu łowcy nagród nie odstawili mnie do wrót klasztoru, nikt nie słyszał, by ktoś wymykał się cesarstwu aż do siedemnastego roku życia.

– Przyniosłam ci twoją figurkę – wyszeptalam do Julii. Bez większej nadziei czekałam, aż otworzy oczy. Śmiałyśmy się

kiedyś, że wymienimy się tęczęwkami: ona odda mi swoje szafirowe, a ja jej moje piwne.

– Dam ci swoje – powiedziała wówczas Julia.

Jako jedyna spośród dziewcząt w klasztorze ośmieliła się ze mną zaprzyjaźnić. Pozostałe, sądząc, że kamienne mury korytarzy stłumią ich głosy, szeptały o „dziewczynie wychowanej przez cyganów”. Te auroczule nie domyślały się nawet, że Julia i ja zakradałyśmy się nocami do ich pokojów i zgadywałyśmy, co im się śni.

W czasie naszych gier nauczyłam się o swoich zdolnościach więcej niż podczas wszelkich bezowocnych ćwiczeń zadawanych przez siostry, kiedy miałam za zadanie oddzielić to, co sama czułam, od uczuć innych. Przynajmniej Julia we mnie wierzyła. Traktowała mnie jak równą sobie, mimo że była starsza o dwa lata. Ufałam, że zawsze będę mogła polegać na jej szczerej przyjaźni, nawet jeśli przeżyje pozostałe auroczule i sama zostanie strażniczką cesarza. Właśnie dlatego musiała żyć, dlatego ze wszystkich sił pragnęłam dać jej coś, co ją uleczy – coś więcej niż kawałek drewna przedstawiający nieistniejącą i bezsilną boginię.

– Drżysz – powiedziała siostra Mirna z troską, na powrót skupiając uwagę na mnie.

Wzruszyłam ramionami. Wciąż męczył mnie ten dziwny głód.

– Julii pewnie jest zimno.

Bruzdy na twarzy siostry się pogłębiły.

– Julia ma gorączkę.

– W takim razie pewnie tobie jest zimno – powiedziałam, a ona dotknęła mojego czoła.

Nie była auroczulą, lecz jej bystry wzrok przeszywał mnie na wskroś. Poczułam gęsią skórę na ramionach.

– Mnie jest zimno?

Nie chciałam, by mój głos brzmiał niepewnie ani by moje słowa przybrały formę pytania. Bo było mi więcej niż zimno. Głęboko w środku coś nieznanego nabierało kształtów

i przedzierało się przez całe moje ciało. Było gorsze niż głód, sprawiało, że gorączkowo zaciskałam dłonie i zagryzałam zęby, a do oczu napływały mi łzy. Rozpierała mnie jakaś przedziwna, nieznana mi dotąd potrzeba.

– W tym pokoju jest gorąco jak w piecu, dziecko – siostra Mirna ściągnęła brwi – a ty masz skórę zimną jak lód. – W jej głosie pobrzmiwał strach. Ja także się bałam, tak bardzo, że serce waliło mi jak młotem.

– Jestem chora? – Może miała rację i niepotrzebnie przyszedłam do infirmerii. Ale przechodziłam gorączkę w obozie Romskich ubiegłej zimy, sądziłam więc, że jestem odporna.

Siostra wstała, puszczać rękę Julii.

– Potrzymaj – rozkazała.

Przez krótką chwilę się wahałam, obserwując, jak krew wypływa z wewnętrznej strony łokcia mojej przyjaciółki. Potem zaczerpnęłam powietrza, wyprostowałam plecy i przycisnęłam dłoń do bandaża Julii.

Od razu poczułam skurcz mięśni, a mój oddech stał się urywany i płytki. W piersi zakiełkowało mi słabe, lecz nieustępliwe pragnienie: pragnienie życia.

Siostra Mirna, mrużąc oczy, wyjrzała przez okno. Ciepłe światło, które migotało na jej twarzy, wzięłam za blask świecy odbijający się od szyby, lecz zwiędłe usta siostry rozchyliły się z przerażenia.

– Fejo, strzeż nas – szepnęła i dotknęła dwoma palcami najpierw czoła, a potem serca, w geście hołdu dla bogini. – Przyszli.

Jej lęk zderzył się z moim własnym.

– Kto? – Wychyliłam się, próbując zobaczyć to, co ona. – Co się dzieje?

Nie odpowiedziała, a ja zaczęłam dygotać dwa razy mocniej, zaś ssanie w moim żołądku przybrało na sile. Musiałam coś zjeść. Natychmiast. Cokolwiek.

Przestałam kurczowo ścisnąć ramię Julii i krew popłynęła między moimi palcami. Barwą przypominała wino.

Wpatrywałam się w nią urzeczona i uniosłam dłoń przyjaciółki w stronę ust, by ją powąchać.

Wtedy do pokoju wtargnął Bazyli. Pochylił się i oparł ręce na kolanach, z trudem łapiąc oddech.

Zamrugalałam, patrząc na krew, i wytarłam rękę w koszulę.

– Wieśniacy... u wrót – wykrztusił, ciężko dysząc. Jego łysą głowę pokrywała lśniąca warstewka potu. – Tłum... nie, cała armia.

Zrobiłam krok w stronę okna, ale zatrzymałam się na myśl o ręce Julii.

– Czego chcą?

Siostra Mirna zacisnęła wargi.

– Tego, co zawsze, kiedy biorą ze sobą pochodnie, kosy i sierpy: naszego jedzenia. – Spojrzała na mnie i zmierzyła mnie wzrokiem. – Niech zgadnę: już nie jest ci wyłącznie zimno?

W odpowiedzi gwałtownie zaburczało mi w brzuchu. Skuliłam wzrok na moich ustach.

– Co to jest? – Podeszła bliżej. – Skosztowałaś krwi?

Skuliłam się.

– Nie... – Czyżbym jednak skosztowała?

Jej wyraz twarzy zmienił się w jednej chwili.

– Bazyli, natychmiast ją stąd zabierz. Zamknij ją we wschodnim skrzydle z innymi dziewczętami. Tyle tu nieopanowanych emocji, że stanowi dla nas zagrożenie.

Ścisnęłam rękę Julii z nagłą determinacją.

– Nie wyjdę.

Siostra szarpnięciem postawiła mnie na nogi. Mój szal opadł na płytki zbryzgane krwią przyjaciółki.

– Musisz pogodzić się z losem i przynajmniej postarać się zapanować nad swoimi zdolnościami. – Mocniej ścisnęła moje ramię. – Narażasz nas wszystkich na niebezpieczeństwo!

Skrzywiłam się, czując ból głęboko w piersi.

– Nigdy nie skrzywdziłabym Julii. – Chciałam znów pochwycić jej krwawiącą rękę, ale siostra Mirna trzymała mnie mocno.

– Wiesz, do czego są zdolni wygłodniali wieśniacy? – Wbiła we mnie wzrok. – Mam ci opowiedzieć o trzech wdowach z mojej wioski, które wabiły nieznanym do swego domu po to tylko, by ich otruć i objeść aż do kości?

Głód nieco osłabł, w żołądku mi się zakotłowało.

– W moim taborze słyszeliśmy tę historię – krążyła od miasta do miasta. To wiejskie gadanie, nikt by się do tego nie posunął.

Natychmiast ogarnęła mnie jej powaga. Nie byłam w stanie ruszyć się z miejsca, jakby stopy wrosły mi w podłogę.

– Mylisz się, Soniu. To już czwarta surowa zima w Riazninie. Przetrwaliś z Rorskimi, bo jeździliście na południe. Tu, w Orminie, udaje nam się przeżyć wyłącznie dzięki łasce cesarza i jego dostawom żywności. Wieśniacy nie mają nic.

Ślina pociekła mi z ust, a zwierzęcy głód w moim wnętrzu wzmógł się na myśl o przepelnionych klasztornych spiżarniach i piwnicach.

– Mamy więcej, niż nam potrzeba. Powinniśmy im pomóc.

Oczy siostry Mirny przybrały stanowczy wyraz i do reszty zmroziły mi krew w żyłach.

– Bazyli, zabierz ją stąd n a t y c h m i a s t. – Pchnęła mnie w stronę staruszka i rzuciła za mną szalem.

Powietrze rozdarły przytłumione krzyki – wieśniacy byli coraz bliżej. Kolana mi drżały i uginały się pode mną.

– Proszę, proszę, błagam! – Powiodłam wzrokiem między siostrą Mirną i Bazylim. – Chociaż kilka bochenków chleba. Gdybyście czuli...

– Dosyć! – Złapała mnie za łokieć i pociągnęła do drzwi. Tam przejął mnie Bazyli. Jego uścisk był nieco delikatniejszy.

Kira i Dasza obudziły się na swoich posłaniach. One także wyczuwały tłum, wiedziałam to. Kira ze łzami na twarzy

przeniosła się do łóżka młodszej od niej Daszy, która trzymała się kurczowo za włosy.

– Kiedy już zamkniesz ją we wschodnim skrzydle – siostra Mirna zwróciła się do Bazylego – zabarykaduj główne drzwi. Czy brama jest wzmocniona?

Starzec skinął głową.

– Mam nadzieję, że to wystarczy. Jeśli dopisze nam szczęście, to zanim wieśniakom uda się ją sforsować, przyjdą wilki.

Oszołomiona, wbiłam w niego wzrok.

– Chcesz, żeby pożarły ich wilki tylko dlatego, że są głodni? – Bazyli miał odstające uszy i blisko osadzone oczy, przez co zawsze wyglądał słodko. Lecz teraz nawet on nie znał litości. – Jak możesz tak mówić!?

– Ani słowa więcej! – ucięła siostra Mirna. Gniew wyłobił nowe linie na pomarszczonej twarzy. Czulałam, jak wzbierają we mnie jej emocje, i z trudem się powstrzymałam, by jej nie uderzyć. Nigdy nie widziałam, by była taka wzburzona. Niełatwo wpadała w złość, lecz nieustanna opieka nad chorymi w ciągu ostatnich tygodni doprowadziła ją do kresu wytrzymałości. – Skoncentruj się na aurze kogoś innego i zapomnij o wieśniakach! – Jej nozdrza zadrżały. – Twoja niepohamowana empatia przyprawi nas wszystkich o zgubę!

Zatrzasnęła drzwi, a mnie lzy napłynęły do oczu. Zacisnęłam dłonie. Nie miało znaczenia, że nie wiedziała, jak bardzo mnie zraniła. Nie ona była powodem mojego płaczu, lecz rzesza głodnych i zziębniętych ludzi napierających na bramy klasztoru.

Kiedy Bazyli prowadził mnie niepewnie w kierunku wschodniego skrzydła, zatopiłam dłonie we włosach i zaczęłam zapamiętale drapać się po ramionach, za wszelką cenę starając się nie zatracić w aurze tłumu. Moje ciało tętniło nieustępliwą desperacją wszystkich tych nieszczęśników. Nie byli tak po prostu nienajedeni: odczuwali głód, który pustoszył ich ciała i dusze. To będzie bolało bardziej niż śmierć

w męczarniach, jeżeli nie nakarmię moich dzieci, mojej wioski... Nie! Ich dzieci, ich wioski.

Drżałam i skomlałam, a Bazyli ciągnął mnie przez kolejne korytarze. Pragnienie wieśniaków pulsowało mi w czaszce, aż w końcu granice między nami zupełnie się zatarły. Przemieniłam się w jedną z nich. Wówczas wszystko stało się klarowne jak wypolerowane szkło.

Stanowiłam jedyną przeszkodę między nimi a ich żądzą.

Byłam czymś więcej niż tłum – byłam klasztorną bramą.

Moje kości tworzyły jej zespawane żelazne części.

Mogłam otworzyć swe podwoje. Mogłam ich wpuścić.

Ja jedna byłam zdolna im pomóc.

Popatrzyłam ukradkiem na Bazylego. Każdy cień, każdy hałas wprawiał go w dygot. Zwykła szara mysz mogłaby go pokonać. Nie stanie mi na przeszkodzie.

Omiotłam wzrokiem ciemne zakamarki w poszukiwaniu czegoś, czym mogłabym go obezwładnić – lichtarza, by przywalić mu w łeb, kawałka sznura albo solidnego krzesła.

Z każdym krokiem zbliżaliśmy się do wschodniego skrzydła. Sześć czy siedem dziewcząt w moim wieku kulilo się wokół świecy trzymanej przez Nadię. Najstarsza auroczuła miała zaledwie dziewiętnaście lat, a już doskonale panowała nad swoimi zdolnościami. Dowodem jej wirtuozerii był każdy fragment jej pokrytej atramentem skóry. Znaczyła się, gdy potrzebowała rozładować emocje, a ostra końcówka pióra sprawiała, że żłobienia zyskiwały trwałość. W ostatnich tygodniach, kiedy gorączka pokonała starsze auroczule, Nadia nie płakała wraz z innymi. Zamiast tego oskarżyła mnie, że „z brudnych cygańskich obozów” przywlokłam ze sobą chorobę. Choćby była to prawda – a nie była – odniosłaby z tego same korzyści. Skoro starsze dziewczęta pomarły, Nadia była pierwsza w kolejności do służby cesarzowi. Płynącą z tego dumę manifestowała, wysoko unosząc głowę i poruszając nią w sposób elegancki i dystygowany.

Spojrzała na nas, kiedy przekroczyliśmy próg wschodniego skrzydła.

– Bazyli, powiedz dziewczętom, że nie mają się czego bać.

Starzec zdobył się na wymuszony, krzepiący uśmiech, mimo że każda z nas potrafiła rozpoznać, co czuje naprawdę.

– Wszystko w porządku. Wracajcie do swoich ciepłych łóżek. Tak się dzieje każdej zimy, a chłopstwu jeszcze nigdy nie udało się przedrzeć przez bramy.

Auroczuła z krzywą miną – Lena? Lola? Nie pamiętałam i nie miałam ochoty pamiętać, jak ma na imię – skrzyżowała ramiona na piersi.

– Wieśniacy nigdy jeszcze nie stawili się taką gromadą. – Zadrzała, a dziewczyna obok niej złapała się za brzuch.

Zapewne wyczuły obecność tłumu, lecz nie tak mocno jak ja – nie stałyby tu, gdyby naprawdę rozumiały żądzę tych biednych ludzi.

– Cóż, jeśli do tego dojdzie, mam broń palną – odparł Bazyli.

Zatrzasnął jedno z wielkich wrót. Rozległ się huk, a moje serce łomotało od wilczego głodu wieśniaków. Nie mogę być tu zamknięta, nie mogę, nie teraz, kiedy jest tylu nieszczęśników do wykarmienia...

Bazyli położył właśnie dłoń na skoblu przeciwnych drzwi, a mnie nagle olśniło: wiedziałam już, co mam robić.

Nadia, mrużąc oczy i przechylając głowę, wbiła we mnie wzrok.

– Coś jest z tobą bardzo nie tak – powiedziała powoli oskarżycielskim tonem.

Wycofałam się za Bazylego i musnęłam palcami jego dłoń spoczywającą na skoblu.

Uniósł krzaczaste brwi.

– Co ty...?

– Powstrzymajcie ją! – krzyknęła Nadia.

Kopnęłam Bazylego w zgięcie kolana, tak że upadł na podłogę. Złapałam klucze od bramy, które wystawały mu

z kieszeni, pchnęłam go w kierunku grupki dziewcząt, wypadłam na korytarz i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Drewniany bal, którym zablokowałam oba skrzydła, runął z hukiem, uderzając w żelazne okowy. Auroczule nie mogły się wydostać. Nie mogły mnie już powstrzymać.

Zza drzwi dobiegały mnie ich krzyki, dziewczęta waliły pięściami w grube, masywne wrota.

Uśmiechnęłam się. Nigdy nie szczędziły mi złośliwości, więc zasłużyły sobie na taki los.

Bazyli starał się je przekrzyczeć:

– Soniu, nie rób tego! Nie wpuszczaj ich. Przez wzgląd na wszystko, co kochasz i co jest ci bliskie – przez wzgląd na Julię – nie wpuszczaj ich!

Odsunęłam się od drzwi, robiąc kilka kroków do tyłu. Ręce mi drżały, serce łomotało jak u przestraszonego królika. Zakradła mi się do głowy odrobina rozsądku – ostrzeżenie.

Co ja wyprawiam? Czy posunęłam się za daleko?

Myśl zgasła jak zdmuchnięty płomień, kiedy poczułam nadciągającą falę emocji wieśniaków. Czekali na mnie. Nie mogłam ich zawieść.

Obróciłam się na pięcie i pognałam korytarzem, potykając się o własną koszulę. Popędziłam krętymi schodami, minęłam refektarz i wbiegłam do głównej sali klasztoru. Odpychałam od siebie wszelkie wspomnienia o tym, jak auroczule mi dokuczały, kiedy siostry zabierały nas na rynek, by sprawdzać nasze umiejętności w tłocznych miejscach. Za każdym razem po kilku minutach kuliłam się na ziemi, kołysałam w przód i w tył i wyłam jak opętana. Lecz nie tym razem. Teraz powitałam tę wielość odczuć z rozkoszą. Wiedziałam jasno, co czuli wszyscy ci ludzie i jak im pomóc.

– Już idę – szepnęłam i zdecydowanym ruchem odrygłowałam cedrowe drzwi.

Wieśniacy stali w oddali, szarpiąc bramę. Musiałam ich wpuścić, podzielić się z nimi naszym jedzeniem i ciepłem, jeszcze bardziej zbliżyć się do ich aur. Musiałam się na powrót wewnętrznie poukladać.

Wstęgi bieli wirowały w tańcu wokół mnie, oprószając marmurową posadzkę. Wyszłam na śnieg sięgający mi po łydki. Moje bosc stopy niejedną raz zaznały zimna. Już teraz czułam kłujący ból tysięcy odmrożonych palców.

– Idę, idę!

Podkasałam koszulę i szłam przed siebie, nie spuszczać oka z luny pochodni wieśniaków. Widzieli mnie? Nie pomyślałam, żeby wziąć świecę. Czy zdawali sobie sprawę, że lada moment nadejdzie kres ich cierpienia?

Przystanąłam, kiedy owładnęło mną nowe odczucie – znacznie silniejsze i bardziej zachłanne niż żądza motłochu. Skręciło mi żołądek tak mocno, że padłam na kolana i wsparłam się rękami o ziemię. Mój brzuch przylegał teraz do grubej warstwy śniegu, jednak w dziwny sposób byłam niewrażliwa na zimno. Dałam susa w stronę bramy. Musiałam dotrzeć do tych ludzi za wszelką cenę.

Ich krzyki słabły, aż wszystko wokół zamarło, spowite ciszą. Ten bezruch trwał krótko – zaledwie jedno uderzenie serca.

Co się działo? Trzy oddechy później odkryłam odpowiedź. Usłyszałam ją. Dobiegała z oddali, jak gdyby z przytłumionego szalonego snu.

Wycie wilków.

ROZDZIAŁ 2

W moich uszach wycie brzmiało jak muzyka. Wabiło mnie, a moje ramiona wznosiły się i opadały w jego rytmie. Uniosłam górną wargę, odsłaniając zęby. Owładnął mną głód – niekontrolowany, czysty i zabójczy. Moje palce zaryły w śnieg, gotowe podrzeć na strzępy cokolwiek będzie trzeba, by zaspokoić najsilniejszą potrzebę, jaką kiedykolwiek odczuwałam.

Chór wilczych głosów rozbrzmiewał coraz głośniejsze. Moje ciało ogarnęło palące pragnienie. Brnęłam przez śnieg, powoli zbliżając się do bramy.

Ludzie, teraz zwrócenieni do klasztoru plecami, nie widzieli mnie. Spierali się o coś, docierały do mnie ich głosy. Kilkoro umknęło, po chwili większość również się rozproszyła.

– Nie! – Głos, który wydarł mi się z gardła, był zniekształcony i chrapliwy. – Czekać! – Rzuciłam się do przodu i zaparłam się rękoma o śnieg, próbując wstać, bowiem emocje tłumu mocowały się we mnie z zabójczym instynktem wilków. – Już idę, nie odchodźcie!

Nikt się nie odwrócił. Nikt mnie nie usłyszał wśród krzyków i narastającej paniki. Rozległ się pojedynczy skowyt – głośniejszy i dobiegający z dużo mniejszej odległości niż

inne. Resztką mieszkańców wsi, która pozostała przy bramie, z wrzaskiem rzuciła się do ucieczki w ślad za tymi, którzy rozpierzchli się wcześniej.

– Nie, proszę! – Mozolnie przedzierałam się przez śnieg, aż wreszcie dotarłam do bramy. Potrząsnęłam żelaznymi kratami, próbując przykuć uwagę umykających. – Dla was wszystkich wystarczy jedzenia!

Uciekali do lasu, nie oglądając się ani na klasztor, ani na mnie. Krzyknęłam z rozpaczą i raz po raz waliłam w bramę. Ręce mnie piekły i bolały, ale nie miało to znaczenia. Cały mój wysiłek okazał się daremny.

Osunęłam się na ziemię, jeszcze raz uderzyłam dłonią w bramę, a potem zawylałam, bo głód rozdarł mnie ze zdwojoną siłą. Przez polanę między klasztorem a lasem przemknął wielki wilk. Z jego rozwartej paszczy wyzierały lśniące, mordercze kły. Wycie jego towarzyszy zyskało na sile i wkrótce reszta stada wyłoniła się z zarośli. Wataha ruszyła biegiem, tworząc smugi brązu i szarości na tle zimowej bieli.

Wcisnęłam ramiona między kraty i na próżno próbowałam dosięgnąć wilków. Będą ucztować i pożywią się swoją ofiarą beze mnie! Padłam na kolana i zaczęłam rycć dłońmi w zamrożonej ziemi. Mogę zrobić podkop, dołączyć do nich! Przybyłam w samą porę.

Naraz zastygłam, przerywając kopanie. Zamrugalam. Zapomniałam o kluczach. Pewnie zgubiłam je po drodze i leżą teraz gdzieś w śniegu. Czołgałam się w koło, węsząc przy ziemi. Nie, nie czuję ich woni. Co się ze mną dzieje? Wstałam, starając się myśleć jasno i odtworzyć, skąd się tu wzięłam. Spróbowałam zrobić krok, ale nie ruszyłam się ani o centymetr, zamiast tego zgięłam się wpół i znów zawarczałam. Cała dygotałam, ze wszystkich sił próbując zapanować nad żądzą krwi.

Klucze, klucze, klucze... Musiałam się skoncentrować. Wycie wilków cichło w oddali i mój głód osłabł.

Drapałam się po brzuchu, jakby chcąc go tam zatrzymać. Wilki poczują ulgę, kiedy zjedzą – kiedy na nią zapracują. Wówczas ja poczuję to samo.

Nagle w śniegu błysnęło coś srebrnego – klucze! Czym prędzej rzuciłam się, by je podnieść. Kiedy tylko ich dotknęłam, światło padające z klasztornego okna przygasło, a na jedną z zasp padł cień. Przycisnęłam klucze do piersi i zerknęłam w górę. W jednym z okien na górnym piętrze rysowała się charakterystyczna sylwetka siostry Mirny.

Resztki rozsądku przekonały mnie, że powinnam się ukryć. Skuliłam się za krzakiem porzeczeki i ostrożnie wyjrzałam zza pokrytych śniegiem gałązek. Siostra się nie ruszała.

– Odejdź – warknęłam.

Wycie wilków stało się odległe – musiały opuścić polanę w pościgu za ludźmi – i pobrzmiwała w nim żalność. A może tak je odbierałam, bo narastało we mnie pogłębiające się poczucie utraty? Jak ja je teraz dogonię?

– Odejdź, no odejdź stąd – zaklinałam sylwetkę w oknie.

„Wilków już tu nie ma – wyobraziłam sobie, że siostra Mirna słyszy moje myśli. – Wracaj do Julii. Jeszcze się wykrwawi, jeśli nie będziesz przy niej czuwać. Potrzebuje cię. Klasztor jest bezpieczny”.

Serce łomotało mi jak szalone. Wycie osłabło. Postać w oknie drgnęła.

– Proszę... – Wypuszczałam z ust obłoki pary.

Siostra Mirna zrobiła krok w głąb pokoju. Zaspę znów zalało ciepłe, bursztynowe światło padające z okna.

Wymamrotałam modlitwę dziękczynną do Fei – czułam ulgę tak głęboką, że zniżyłam się do przywołania zetlałej wiary w boginię – i popędziłam z powrotem w stronę bramy. Polanę opuszczał właśnie ostatni z wilków.

– Czekajcie! – zawołałam, wciskając w dziurkę największy klucz i mocując się z zardzewiałym, zamrożonym mechanizmem. – Czekajcie!

Lecz na polanie nie było już nikogo.

Klucz obrócił się w zamku, ale zablokowane sztabą wrota były połączone również łańcuchem zamykanym na kłódkę. Umocnienia Bazylego. Ręce drżały mi z niecierpliwości, kiedy kolejno wkładałam w kłódkę mniejsze klucze. W końcu trafiłam na ten właściwy. Zdjęłam łańcuchy z krat i gwałtownie szarpnęłam. Zawiasy zaskrzypiały, jednak brama rozchyliła się zaledwie na palec. Warknęłam ze złości. Głęboki śnieg ją unieruchomił. Przykucnęłam i zaczęłam go pośpiesznie odgarniać.

– Wracajcie – mówiłam do wilków. – Wracaj – mówiłam do zamierającego we mnie pragnienia.

Zadrżałam i oparłam się o kraty. Siedziałam z bezładnie rozłożonymi nogami – gołymi po kolana i zacerwienionymi z zimna. Na moich splecionych włosach osiadały płatki śniegu. Nie czułam palców stóp ani rąk. Podbródek mi się trząsał – nie wiedziałam, czy z chłodu, czy też dlatego, że właśnie wróciła mi samoświadomość.

Na Feję, na wszystkich świętych bogów – co mnie opętało? Obróciłam się powoli i popatrzyłam na ślady butów za bramą, gdzie jeszcze niedawno tłoczyła się ciżba.

Po niedawnym szaleństwie nie zostało już nic. Ich szaleństwie. I moim.

– Bazyli – jęknęłam i przycisnęłam dłoń do skroni. Naprawdę zamknęłam jego i auroczule na klucz we wschodnim skrzydle?

Nadia miała rację. Coś ze mną było bardzo nie w porządku. Może dziesięć lat temu rodzice powinni byli oddać mnie łowcom nagród, a nie Romskim. Moja szansa na wolność nie była warta takiej ceny. A przynajmniej powinnam była włożyć więcej wysiłku w lekcje z siostrami. Nawet u auroczulej odczuwanie żądź zwierząt było nienaturalne. „Tak się dzieje, kiedy talent nie zostanie utemperowany – powiedziała mi kiedyś siostra Mirna. – Człowiek dziczeje”.

Byłam gorzej niż dzika – stanowiłam żywą beczkę prochu. A gdybym dotarła do bramy chwilę wcześniej? A gdybym wpuściła do środka wieśniaków? Albo wilki?

Rozległo się ciche skomlenie. Wyciągnęłam szyję. Nieopodal jednej z wież stojących po obu stronach bramy coś się poruszyło. Kupka czerni. Znów dobiegł mnie jęk.

– Kto tam? – spytałam.

W odpowiedzi nieznajomy uniósł głowę. Podeszłam bliżej i przylgnęłam do krat. Na zewnątrz leżał człowiek, był zwinięty w kłębek i cały się trząsł. Twarz miał tak chudą, że wydawała się nienaturalnie podłużna. Spojrzałam na jego ciemne, zapadłe policzki i cienie pod oczami. Otulił się ciśnień obszarpanym płaszczem. Przed mrozem chroniły go tylko okrycie i poplamiona futrzana czapa.

Przez moją przemarzniętą pierś przedarła się iskra uczucia, które zagnieździło się w moim sercu. Ten mężczyzna był zdruzgotany, pozbawiony nadziei – to, co czuł, w niczym nie przypominało potężnej siły bijącej od tłumu, lecz było równie prawdziwe. Cierpiałam wraz z nim. Mogłam pomóc dzisiaj przynajmniej jednej osobie. W czym zaszkodzi jeden wygłodniały człowiek?

– Przepraszam. – Wykrzywiłam usta w coś na kształt uśmiechu. – Jeżeli możesz wsadzić rękę za kraty i pomóc mi odgarnąć śnieg, z przyjemnością odplacę ci się ciepłym posiłkiem i miejscem przy ogniu.

Zdjęłam z niego ciężki od śniegu płaszcz i powiesiłam go na krześle w kuchni. Potem przyciągnęłam drugie krzesło do ognia tak blisko, że jego nogi niemal dotykały paleniska.

– Siadaj tu.

Mężczyzna zdjął futrzaną czapę i zaczął ją miętosić kościstymi palcami. Paznokcie miał brudne i połamane. Zrobiło mi się wstyd, że się na niego gapię, więc podniosłam wzrok na jego gołą głowę. Pozlepiane od brudu włosy miał

w kompletnym nieładzie. Fizyczne oznaki oblędu. Może to dlatego nie odezwał się słowem, kiedy mocowaliśmy się z bramą, a potem szliśmy do klasztoru.

Gdzieś z góry dochodziło echo przytłumionych głosów. Mężczyzna wzdrygnął się, kiedy zabrzączał miedziany żyrandol. Nie zapaliłam świec, by nie kapał na niego gorący wosk.

– Nie przejmuj się. – Ruchem głowy wskazałam na sufit.

Auroczule nadal były zamknięte we wschodnim skrzydle. Ich gniew mnie dusił, ale zacisnęłam zęby i odepchnęłam go, tak że ból stał się tylko powierzchowny. Dużo bardziej nieznośny wydawał się mój własny wstyd. Nie mogłam na razie spojrzeć im w twarze ani znosić ich łajania za to, że straciłam nad sobą panowanie. Cóż mogłam poradzić, że zamknięcie ich dawało mi taką frajdę? Przecież one od miesięcy robiły mi to samo – ograniczały mnie ciągłą krytyką i odrzucały. Mogą sobie jeszcze trochę tam poczekać.

Chwyciłam mężczyznę za ramię i delikatnie podprowadziłam do krzesła przy palenisku. Siostra Mirna mówiła mi kiedyś, że zmysł dotyku wzmacnia świadomość auroczulej. Postanowiłam to wykorzystać, by zatracić się w otepiałych emocjach tego człowieka i wyciszyć gniew uwięzionych auroczułych.

Usiadł sztywno na krześle. Jego energia koncentrowała się wokół fizycznych potrzeb tak mocno, że pozwalało to na swego rodzaju ucieczkę od rzeczywistości. Nalewając potrawki do miski, cały czas dotykałam nogą jego kolana. U sióstr zawsze coś bulgotało w żelaznym garze, a one w ciągu dnia dodawały wody, ziół i pokrojonych warzyw. Podałam nieznajomemu miskę i dołożyłam do ognia. W kilka chwil suche drewno płonęło z trzaskiem.

– Już lepiej. – Zerwałam kontakt, by przysunąć do niego kolejne krzesło. Ten krótki brak styczności wystarczył, by ścisnęło mnie w żołądku z poczucia winy. Przez to, że nie wpuściłam dziś tłumy do klasztoru, uniknęłam katastrofy, ale

także zawiodłam wieśniaków. Ilu z nich będzie przeze mnie nadal cierpieć niedostatek – i jak długo?

Nalażyłam potrawy również sobie, mimo że przy kolacji jadłam repetę – musiałam bowiem w jakiś sposób zdusić w sobie ten dziki, obcy głód.

Usiadłam i przysunęłam się do mężczyzny, tak by dotykać go kolanami. Obojgu nam burczało w brzuchach i ogarnęła mnie ulga, że znów odczuwam coś tak prozaicznego. Jedliśmy przy akompaniamencie skrzypienia żyrandola i dźwięku kapania kropli – lód osiadły na mojej koszuli nocnej topił się i woda ściekała na podłogę. Poruszałam palcami u stóp, starając się przywrócić w nich czucie, i ciasniej owinęłam ramiona kuchenną ścierką, traktując ją jak prowizoryczny szal.

– Pochodzisz z Orminy? – zapytałam, kiedy milczenie zaczęło mnie krępować. – Oczywiście, że tak. W takim śniegu z żadnego innego miejsca byś tu nie doszedł.

W oczach mężczyzny odbijały się płomienie. Zupełnie zignorował moje pytanie. Zamiast tego postukał łyżką w pustą miskę.

– Masz ochotę na więcej?

Stuk, stuk.

– Podać ci?

Sięgnął ręką w stronę garnka.

– Nie!

Kiedy dotknął opuszkami gorącego żelaza, rozległo się potworne syczenie. Zaskowyczał, ukazując ukruszone zęby. Skoczyłam na równe nogi i pobiegłam do wiader z lodem. Zdarłam z ramion ścierkę, żeby zebrać nią nieco wilgoci.

– Proszę. – Ukłękłam u stóp swojego gościa i owinęłam mu dłoń mokrą szmatką. Kolysał się w przód i w tył, prz gryzając wargę. – Popeliłam błąd, sadzając cię tak blisko ognia – powiedziałam. – Odsunąć cię czy obiecujesz, że będziesz ostrożniejszy? – Skrzywiłam się z niesmakiem, słysząc własny ton głosu. Brzmiała aż za bardzo jak siostra Mirna. – Obiecujesz?

– Wierzę, że sami stanowimy o własnym losie – powiedziałam jak zawsze z uporem. Lepsze to, niż pozwolić, by serce mi pękło. – Nikt nie ma prawa dyktować nam, kim jesteśmy ani czym możemy się stać. Wydawało mi się, że też w to wierzysz, że o to właśnie walczysz.

Auroczule posiadają niezwykłą umiejętność wyczuwania emocji żywych istot. Z tym darem urodziła się Sonia Petrova. Przez lata żyła w ukryciu, była świadoma swoich umiejętności, jednak nie umiała z nich korzystać. Pożar klasztoru, w którym przebywała wraz z innymi auroczułymi, przyspiesza jej przybycie na dwór imperatora Valka.

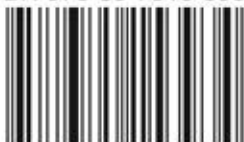
Młoda, niedoświadczona i osamotniona dziewczyna z dnia na dzień staje się jedną z najważniejszych osób w otoczeniu władcy. Jej zadaniem jest wyczuwanie złych zamiarów poddanych oraz gości. Sonia zmaga się z nową rolą i ze swoimi zdolnościami, których nie zdążyła jeszcze opanować. Wydaje się, że jedyną przyjazną jej osobą jest brat imperatora Anton. Staje się on jej sprzymierzeńcem oraz powiernikiem, a z czasem wtajemnicza ją w spisek.

Tymczasem w kraju rośnie niezadowolenie. Lud głoduje, despotyczne rządy Valka nie podobają się również arystokracji, a relacje między braćmi się komplikują. Sonia musi wybrać, któremu z nich zaufać. Czy będzie umiała wykorzystać swój dar, by wpłynąć na losy imperium?

E-book dostępny na

woblink.com

ISBN 978-83-7515-393-4



9 788375 153934 >

Cena detal. 36,90 zł

Dołącz do fanów książek Moondrive:
facebook.com/MoondriveKsiazki

